NR. 17 NIEDZIELA, 22 LISTOPADA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL dzieci

Pod redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

Przyrzeczenie

Na wspaniałym placu miasta
szereg kolumn w niebo wzrasta,
a pod temi kolumnami
wieczystemi śpi tu snami,
ze czcią wielką pochowany
żołnierz prosty i nieznany.
Jest to jeden z tych żołnierzy,
których miljon w ziemi leży.
Od swej roli, od warsztatu
poszli — brat przeciwko bratu,
człowiek przeciw człowiekowi,
żołnierz przeciw żołnierzowi!

. . . .

Czyja słuszność? czyja wina?
Gdy miłości w sercach niema,
kiedy niemasz bratniej zgody,
mordują się wkrąg narody.
Zamiast w zgodnej żyć miłości
giną śmiercią ludzie prości.
Więc tu, gdzie jest pochowany
żołnierz prosty i nieznany
złóżmy kwiatów garść na grobie
i przyrzeczmy Jemu, sobie:
— Przyrzekamy od dziś dnia
Zwalczać wojnę, źródło zła,
i pracować z całych sił,
by na świecie pokój był.

es.

Pomyślcie nad tem

Widujecie obecnie często w ,Robotniku" duże artykuły, które oznajmiają, że na Dalekim Wschodzie — w Mandżurji wre wojna. Żółci Japończycy walczą z żółtymi Chińczykami ,bombardują miasta palą, głodzą dzieci i dorosłych.

O co walczą?

A o to, że Japończykom ciasno na ich wyspach, że część ludności szuka sobie pracy poza ajczyzną; że w Mandżurji, kótra należy do Chin, Japończycy urządzili szereg przedsiębiorstw, że wysyłają tam na sprzedaż swoje towary. Wojna więc wybuchła o to, by Japończycy mogli w chińskiej Mandżurji swobodniej handlować, więcej zarabiać w założonych i zakładanych przedsiębiorstwach.

— Więc dlatego leje się jednako czerwona krew żółtych ludzi?! — wołacie zdumieni.

Prawda, każdego zdumiewa to, że ludzie masowo mordują się wzajemnie, strzelają do siebie i niszczą jeden drugiemu dobytek bez względu z jakich powodów to czynią. Czyż nie mogliby porozumieć się ze sobą i wzajemnie zgodzić się na jakie śustępstwa, by wszystkim było dobrze?

Ta myśl porozumienia się w razie sporu zamiast rozstrzygania go przelewem krwi zjawiała się w umysłach ludzi już dawno. Potworne głupstwo, jakiem jest wojna, potworne, bo zbrodnicze, wydzierające życie miljonom ludzi, czyniąc niedołężnymi kalekami miljony, odbierające żonom mężów, ojców — dzieciom, synów — matkom, jest zbyt oczywiste, by mogło nie obudzić uczucia odrazy i myśli o usunięciu tego haniebnego zła ludzkości.

Jeszcze w XV wieku król Jerzy czeski myślał o tem, by pokojowo rozstrzygać spory. Myślał też o tem w XVI wieku król francuski, Henryk IV. Ale wieki upłynęły i szlachetna myśl nie została zamieniona w rzeczywistość. Tymczasem przez ciąg stuleci zdobycze nauki, wspaniałe wynalazki natychmiast wykorzystywano dla celów wojny. Materjały wybuchowe, para, elektryczność, wszystko zaprzęgano do niszczenia. I wojny stają się coraz potworniejsze w skutkach. Biorą w nich udział miljony ,giną biljony i cierpią miljony.

Ostatnia wojna, która przed 16 laty objęła płomieniem cały świat, która pokryła minami i zgliszczami rozległe kraje i dziś jeszcze odczuwać się daje wszystkim w postaci nędzy, a nie pozwala o sobie zapomnieć, stawiając nam przed oczyma codzień kalekich ludzi — wstrząsnęła ludźmi i obudziła w nich sumienie i rozsądek. Rozległo się hasło: „Dość barbarzyństwa! Dość wojen".

Jeśli państwa mogą porozumiewać się w szeregu spraw, obchodzących mieszkańców globu — niech się porozumiewają we wszystkich, niech spokojnie omawiają swe spory i sądzą je sprawiedliwie, nie uciekając się do broni. W końcu ubiegłego stulecia i w początkach trzeciego w mieście Hadze ułożyli delegaci licznych państw (44-ch) szereg umów, z których jedna mówi o nietoczeniu wojen. Niestety, umowa ta nie położyła tamy potokom krwi ludzkiej.

Po wielkiej wojnie prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson wznosi myśl stworzenia związku narodów, Ligi Narodów, kótraby w osobach przedstawicieli państw omawiała i rozstrzygała zatargi między państwami. Do Ligi Narodów przystąpiło wiele państw. Niestety, nie wszystkie: nie należą do niej ani Stany Zjednoczone, ani Sowiety — dwa z największych mocarstw świata, należą natomiast Niemcy, Anglja, Francja, Polska, Chiny, Japonja.

— Chiny i Japonja, które walczą obecnie ze sobą, choć zobowiązały się nie walczyć z nikim, przyłączając się do Ligi Narodów?

— Tak, właśnie te państwa. Zebrani przedstawiciele państw orzekli, że Japonja nie powinna walczyć z Chinami, że do 16 listopada ma wycofać wojska, które wysłała do Mandżurji.

A tymczasem na Dalekim Wschodzie huczą armaty, rozlegają się jęki rozszarpywanych przez bomby lotnicze, giną kobiety i dzieci w niszczonych miastach, zamierają warsztaty. Wojna trwa i walczące państwa nic sobie nie robią z wezwań, orzeczeń, poleceń.

Myślano o tem, by Liga Narodów w razie potrzeby miała prawo skorzystać z wojsk państw, do niej należących, by siłą zmusić nieposłusznych do pokoju. Czyż to

zmuszanie siłą nie będzie nową wojną?

Prawda, obawa, że wiele państw wyruszy orężnie dla zaprowadzenia pokoju powstrzymałaby niejedne państwo od wojny. Ale to nie wystarcza i nie wystarczy tak długo ,jak długo wśród całej ludzkości nie zagości na stałe głębokie umiłowanie pokoju, ja. kdługo rozsądek nie weźmie góry nad zbrodnią i barbarzyństwem.

Nadejdzie chwila, kiedy każdy człowiek zrozumie że chodzenie tysiącami na rzeź dobrowolną jest szaleństwem, potwornym bezrozumem.

Myślcie o tem od zarania swego życia, by ta myśl rosła razem z Wami, mężniała i stała się tak oczywistą, jak korzystanie z powietrza. Nie pójdziecie wtedy śladami starszych, minionych pokoleń, którym będziecie się dziwić ze smutkiem, że mogły być takie bezwzględne, krwiożercze i nierozumne.

M. K.



Smutne zwycięstwo

Było to pogodne, jesienne popołudnie. Już cała gromadka dzieci zebrała się w najdzikszej, najmilszej do zabaw, części ogrodu.

Czekano tylko na Wacka. On zawsze przewodził wszystkim. On najlepszą zabawą umiał wymyśleć. Bez niego nic.

W cienistym, pachnącym ogrodzie niecierpliwią się dzieci:

— Gdzież ten Wacek? Nie idzie i nie idzie. A tu szkoda czasu tak czekać na próżno — mruczy najniecierpliwszy Stasiek.

Ale oto już Hela z Jadzią dojrzały coś migającego między drzewnemi pniami.

— Może to Wacek biegnie?

Przyjrzały się dzieci:

— Ej nie — powiada Heniek. — To ktoś obcy. Coś mu się złoci na głowie... Jakiś rycerz chyba.

— Rycerz? Skądby się rycerz wziął w naszym ogrodzie?

I dalej się sprzeczać. Dziewczynki twierdzą że zbliża się najprawdziwszy rycerz w złotej zbroi, a chłopcy upierają się przy swojem:

— Nie żaden rycerz, tylko niewiadomo kto i już...

A ten ktoś o kim mowa właśnie, już jest coraz bliżej... już jest całkiem blizko... już...

— Jak się macie koledzy!

— Wacek!!! — krzyknęły zdumione dzieci i obstąpiły kołem przybysza. Dotykając go obracając go, a jeszcze wierzyć nie chcą...

Aż Wacek wydął policzki i oświadczył z pychą:

—Tak, to ja. To mój złoty hełm. To mój mocny pałasz. To ja — cały wojak. Słuchajcie mnie. Zabawimy się dzisiaj jak nigdy. Zabawimy się pysznie. Zabawimy się... w wjonę. Wy wszyscy będziecie wojskami, a wodzem nad wami będę ja!

Ma się rozumieć wszyscy, i Hela i Jadzia i Staszek i Heniek, odrazu uznali Wackowe prawo do prowadzenia. Jakżesz! On jeden miał przecież hełm ze złotego papieru i wielki pałasz z drewna.

— Niech żyje wódz! — krzyknęli podkomendni.

A wódz uśmiechnął się łaskawie i zaraz surowo:

— Kto żyw niech zdobywa broń, leszczynowe pręty, a żywo!

Rzucili się chłopcy i dziewczyny także, do łamania i wycinania sobie prętów, a mocnych, a giętkich.

— Już wszyscy pod bronią.

Wódz Wacek skinął pałaszem i zakomenderował:

— Baczność! Równaj. Odlicz.

Spełniono rozkaz.

— Teraz — powiedział wódz w złotym hełmie — wydamy wspaniałą walkę nieprzyjacielowi.

— A kto będzie nieprzyjacielem? — ośmieliła się pisnąć z szeregu Jadźka.

— Te osty wysokie jak płot i te łopuchy będą naszymi wrogami — wyjaśnił Wacek i podniósł w górę pałasz i wrzasnął na cały ogród:

— Naprzód wojacy! Bij, zabij!

— Bij zabij! — krzyknęli chórem wojacy i z podniesionemi leszczynowemi prętami jak z szablami i lancami runęli za wodzem.

Zakotłowało się pod parkanem. Wre bitwa i nie byle jaka. Krzyk pisk, tupot, świst oręża, szelest tratowanych liści i miażdżonych łodyg.

— A masz! A masz! — łomocą zacięte razy.

— Poddajcie się nikczemne chwasty!— woła wódz Wacek.

— Bij tratuj! — krzyczy armja

— Naprzód!

— Naprzód!

Oto już znikły z pod płota osty i łopuchy, ale bitewny zapał rośnie w dzieciach.

— Jeszcze! Jeszczé! — machają leszczynowemi prętami zbryzganemi roślinnym sokiem sączącym się z połamanych łodyg, z pociętych liści.

Czerwony, spocony, najdzielniej spracowany wódz Wacek, w pokrzywionym na bok złocistym hełmie wskazuje z błyszczącemi oczami pałaszem przed siebie, na kwiatową rabatę:

— Naprzód wojacy! Naprzód, po zwycięstwo! Bij zabij!

I cała armja oślepiona, uniesiona walką rzuca się za wodzem na rozkwitłe w słońcu kwiaty.

Co tam nędzne osty i rozlazłe łopiany! Tu dopiero jest prawdziwa wojna! Od jednego zamachu leszczynowych prętów, od jednego cięcia drewnianego pałasza padają wdzięczne głowy białych astrów, złociste korony słoneczników, sypią się w puch i proch czerwone płatki dalij...

— Hurra! Hurra! Zwycięstwo! — krzyczy z całych sił wódz wielki.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! — wtóruje mu chórem dzielna armja.

Ale zaledwie dzieci opuściły swoje mordercze pręty — szable, ujrzały nagle przed sobą rzecz straszną: pustkę.

Tam gdzie jeszcze przed chwilą barwił się i pachniał cudny klomb najpiękniejszych, radosnych kwiatów — teraz sterczały ze stratowanej ziemi resztki zmiażdżonych, pogniecionych bezlitośnie i wdeptanych w ziemię szczątków.

— Smutne pole zwycięstwa.

Stoją dzieci z pochylonemi głowami. Nie śmieją spojrzeć sobie w oczy.

Es.

Marysia na wojnie

Zła, bezlitosna jest wojna.

Wygnała Marysię z domu, w obcy świat.

I nie tylko Maysię, ale i mamę i babunię i sąsiadów i ich dzieci.

Nikomu nie pozwolono we wsi zostać, bo właśnie tę wieś trzeba było zniszczyć, spalić chaty, stratować zboża, zrównać z ziemią sady.

A ludzie mają jechać w kierunku miasta, tam im już powiedzą co dalej robić.

Wiejski policjant, Huzar, bił w bęben

i ogłaszał, że jutro, jutro rano ma wieś być pusta, a ludzie płakali i lamentowali jeszcze bardziej niż wtedy, gdy ojciec wraz z innymi odchodził na wojnę.

Do późna było wtedy we wsi gwarno, nikt z dorosłych nie kład się chyba tej nocy spać, we wszystkich chatach migotały światełka, nie żałowano nafty.

I dzieci używały do późna, a ta cała wojna nie wydawała im się znów tak bardzo złą. Na jutrzejszy wyjazd to się nawet bardzo cieszyły, zawsze to przecież niebyle co jechać do miasta!

Obudzono je skoro świt. We wsi było głośno. Wynoszono z chat toboły i zawiniątka, pakowano drób do naprędce skleconych kojców, wyprowadzano bydło. Sprzeczano się, co ważniejsze, co wziąść, a co zostawić, płakano, że tyle krwawicy trzeba tak na marne rzucić, ale że Huzar poganiał, więc dano spokój sprzeczkom i tylko ładowano na wozy co się dało.

Wkońcu ruszono. Co bogatsi na przodzie, na wozach, za niemi biedota, niosąc ubogie swe zawiniątka.

Ranek był pogodny, a że jeszcze było wcześnie, więc upał nie dokuczał, było świeżo i przyjemnie. Dzieci były uradowane. Starsze biegły obok furmanek na wyścigi i tak chwilami dokazywały, że je przyciszać było trzeba.

Do lasu szło wszystko jaknajlepiej, ale kiedy minęli las, zaczęły się nieszczęścia. Musieli zrobić miejsce wojsku, które zajęło cały gościniec. Zepchnięto ich w rów. Ledwo potem wydostano wozy z tego rowu, a i tak szkoda była: dwa wozy złamały się. Zaczęli je więc naprawiać, a tymczasem upał się wzmagał, małe dzieci płakały, wciąż chciały wody, a wody nie było.

Potem nagle podniósł się okropny krzyk: zauważono, że Michaś nie żyje. Mały był, w poduszce jeszcze, leżał na wozie ,obok skrzyni, żeby miał cień. No i skrzynia się obsunęła i przydusiła Michasia. Nikt nic nie wiedział, nikt nie słyszał płaczu, matka dopiero zobaczyła, gdy go chciała nakarmić. Popłakano, popłakano i — ruszono dalej. Nie można było przecież tak stać na gościńcu, trzeba nocą zdążyć do miasta.

Ale nie zdążono. Godzinami trzeba było czekać aż przejdzie wojsko, które co raz spotykano. Nocowano więc pod lasem. Małe dzieci na wozach, starsze na ziemi, a dorośli, obsiadłszy wozy rozmawiali szeptem. A potem było już zupełnie ciemno, gdy pozwał się płacz i lament tak okrutny, że najmłodsze dzieci obudziły się i senne, przerażone płakały głośno.

Tam, za nimi, skąd szli — czerwieniło się niebo olbrzymią łuną...

Tam palono ich chaty, tam niszczono zboża, które ich żywić miały, tam marnowano krwawą ich, ciężką pracę.

Rano bolała Marysię bardzo głowa, a i dużo innych dzieci chorowało. Piły wczoraj wodę, gdzie popadło, gasiły pragnienie niedojrzałemi owocami i teraz były chore. Zrozpaczone, bezradne matki dotykały rozpalonych główek, ale im pomóc nie mogły, tylko cicho płakały.

Pod wieczór zrobiło się Marysi lepiej, usiadła nawet na wozie, by lepiej wszystko widzieć, bo matka powiedziała, że wjeżdżają do miatsa.

I rzeczywiście, wkrótce zobaczyli duże domy o tak dużych oknach, jak ich cała chata, i piękne, czerwone ni to domki ni wozy, które same się toczyły wciąż dzwoniąc.

Ludzi było okrutnie dużo, chodzili to tu, to tam, aż w głowie się kręciło, patrząc. Znowu zatrzymano wozy, a było ich teraz bardzo dużo, bo i z innych wsi nadciągnęło sporo. Stały stłoczone wzdłuż ulicy, a ludzie pocieszali się, że ich trudy już się kończą. Teraz się niemi zajmą, wyznaczą mieszkania, przecież dłużej tak na furach nie mogą.

Ale wieczorem nikt widać czasu nie miał, by się nimi zajmować, bo i pewnie, tyle narodu! A tu wciąż i ludzi i wozów przybywa!

Na drugi dzień zabrano im krowy i konie. Potrzeba dla wojska. Jednym płacono, innym dawano kwitki, niby aż po wojnie odbiorą sobie pieniądze. A potem nagle, niewiadomo kto pierwszy i na czyj rozkaz, zgarnąwszy dzieci i porwawszy z wozów co się dało ,poczęto się dokądś posuwać w wielkim tłoku.

Marysina mama niosła Jaśkę, babunia Hankę i dźwigały jeszcze dwa wielkie tłomoki, a Marysia jako najstarsza, szła uczepiona do matczynej spódnicy. Osłabiona chorobą i drogą, nieprzywykła do miejskiego bruku, ledwie szła w ten upał. A tu się znów zrobił tłok, ktoś się przeciskał gwałtownie, środkiem drogi jechały dudniąc jakieś ciężkie wozy.

Kiedy się znów uspokoiło, Marysia nie widziała już matki. Ludzie wciąż szli i szli, ale matki nie było. I nie tylko matki, ale ani babuni, ani nikogo z Marysinej wsi. Tłum ich rozdzielił. Tamci — widać — poszli, a Marysia została. Płakała, wołała, więc ten i ów się zatrzymał, zapytał, ale przerażona dziewczyna nie odpowiadała, szedł dalej.

A Marysia przeciskała się naprzód, ale choć bardzo się spieszyła, zostawała co raz w tyle. Wkońcu nie mogła iść dalej. Bolały ją nogi, była zmęczona chorobą, płaczem i okrutnym strachem. Więc odsunąwszy się, by jej nie stratowano, usiadła na chodniku i błyszczącemi gorączką oczami wypatrywała matki.

. . . .

Matkę tłum popychał naprzód. Szła, dźwigając dziecko i tobół. Sił jej brakło, raz chciała już odrzucić ciężki pakunek, ale czy to mogła? Toż to było wszystko co im zostało, trocnę tych najpotrzebniejszych rzeczy. Przecież już tylko co najpotrzebniejsze niesiono, wszystko inne zostawiono na wozach, albo sporo rzucano na ulicy.

Dopiero na dworcu, przystanąwszy chwilę ujrzała, że niema Marysi. Ale już ją znów popychano. Krzyczano, tłoczono się. Żołnierze, otaczający ich, nie wypuszczali nikogo z dworca. Na płacz i tłumaczenia, że tam zostało jedno małe dziecko, żadnej nie zwracali uwagi.

Zresztą — nie jedno zostało. Prócz dwojga uduszonych w tłoku, zgubiło się wtedy kilkanaście dzieci.

Biegały z płaczem po nieznanych ulicach, daremnie szukając kogoś ze swoich.

. . . .

Był to dopiero pierwszy etap wojny, t. zw. ewakuacja. Następne były jeszcze gorsze... **Baj.**

Kochajmy się!

U „czwartaków" gwarno. Nikt nie opuszcza klasy, chociaż lekcje już dawno skończyły się. Odbywa się bardzo ważna, koleżeńska narada. Oto Antoś oświadczył dziś niespodziewanie, że nie chce nadal siedzieć w jednej ławce z Abramkiem, bo on jest Żydem.

Czy Antoś postąpił po koleżeńsku? — O tem mają właśnie zdecydować zebrani „czwartacy".

„Czwartacy" — jak to zwykle bywa na każdem zebraniu — podzielili się na dwa obozy: jedni trzymają stronę Antosia, inni są na niego mocno oburzeni. To ten, to znów inny z kolegów zabiera głos, przemawia „za" lub „przeciw", zgłasza swoje wnioski. Rośnie podniecenie, wzmaga się hałas, padają przeróżne okrzyki:

—Żyd... Wyrzucić go z naszej klasy!.. Nie chcemy siedzieć z Żydem!..

— Dlaczego?.. Przecież to nasz kolega?.. Cóż on wam złego zrobił?..

Wreszcie, wśród ogólnej wrzawy, zabiera głos Stefek, najstarszy z „czwartaków":

— Koledzy! Abramek jest naszym kolegą już od trzech lat. Kto z was może mu coś zarzucić?

Cisza.

— Nikt! — bo był on zawsze i dla wszystkich dobrym kolegą. Razem z nami bawił się i pracował; dzielił z nami chwile radości i smutku. Dlaczego teraz chcecie rozstać się z Abramkiem?

—Że jest Żydem — to i cóż w tem złego. Niema wśród nas Polaków i Żydów, lepszych i gorszych. Wszyscy jesteśmy kolegami! Nie kłóćmy się, nie wyrządzajmy nikomu krzywdy.

Kochajmy się wzajemnie!

— O ile nie chcecie siedzieć w jednej ławce z Abramkiem, to ja z nim będę siedział, bo on jest moim kolegą, bo on jest naszym kolegą!

— I ja chcę siedzieć z Abramkiem! I ja!... i ja!... i ja!... — ozwały się zewsząd głosy.

Wtem wstaje Antoś i oświadcza:

— Koledzy! Źle postąpiłem — prawda! Przepraszam Abramka za wyrządzoną mu krzywdę i proszę, by zechciał nadal ze mną siedzieć w jednej ławce.

To mówiąc, podszedł do Abramka i serdecznie ucałował go. **T.**



MAŁY GAZECIARZ

Ledwo się zaczął ranny ruch,
ledwo tramwai odezwał się dzwonek,
już mknie ulicą mały zuch,
wesoły miejski skowronek.

I dźwięczy chłopięcy głos
skroś miejskie gwary i wrzaski
— Kurjer! Nowiny najświeższe
woła gazeciarz warszawski.

Zachrypły, głodny, zziębnięty,
lecz wesół, żwawy i miły,
sprzedaje gazety za grosze,
pracując, doprawdy, nad siły.

A kiedy noc już nadchodzi
i cichnie tramwai dzwonek,
on jeszcze z całych sił woła...
ten szary, miejski skowronek.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.

O JASIU O BRUKU I O DOBROCIU

Wraca Jaś ze szkoły, a zły jest na cały świat, bo go pan nauczyciel skarcił, że na lekcji chlebek jadł. Myśli sobie Jaś: niechno się tylko okaże, że Edek dobrał się do moich kredek, już będzie miał za swoje. Myśli sobie Jaś: niechno się tylko okaże, że Bronia wzięła do zabawy mojego słonia, już będzie miała za swoje. Myśli sobie Jaś jeszcze: niechno się tylko okaże, że jest na obiad brukiew, nie będę jadł, ani łyżeczki nie zjem. Tak sobie Jaś postanawia i nie wie, że to złość chodzi za nim w niewidzialnym kaftaniku i powtarza: — złość się, złość chłopczyku, a ja temu rada, rada, rada.

Wraca Jaś do domu zły, z hałasem otwiera drzwi i do kuchni zagląda, a w kuchni matka nad brukwią stoi i brukiew miesza i skwarkami ją okrasza, jak może. Już miał Jaś krzyknąć: — nie będę jadł brukwi, — ale spojrzał.

A jak dziecka na matkę spojrzy, to już złość się gdzieś do kąta chowa a dobroć za dzieckiem staje. A Jaś na mamusię patrzy, a dobroć tak mu podpowiada — patrz, czy Ci nie żal mamusi, że tak od rana nad ogniem stać musi?

— Pewnie że mi żal — myśli Jaś, a dobroć na to: — a jak mamusi pożałujesz, jak?

— Już wiem, całą brukiew zjem, przecież mi korona z głowy nie spadnie, a zresztą nie taka ta brukiew zła — myśli

Jaś i nie wie, że to on tak z dobrocią rozmawia.

Idzie Jaś do pokoju.

A tam Edek dobrał się do jego kredek, a Bronia wzięła do zabawy jego słonia.

Już miał się Jaś rozłościć ale dobroć miła jeszcze od niego nie odstąpiła i podpowiada mu tak:

— Nie złość się, nie złość, czy Ci nie żal Edka i Broni, przecież mamusia nie ma czasu do nich, a to jeszcze takie maleństwa, sam powinieneś ich zabawić. —

Słucha Jaś dobroci, namyśla się, wreszcie zamiast rozłościć mówi wesoło do rodzeństwa: — wiecie, przyniosłem dziś ze szkolnej czytelni taką piękną książkę z bajkami, to ją wam będę czytał.

Ucieszył się Edek ,ucieszyła się Bronia a złość czmychnęła z kąta i hyc przez podwórko, przez bramę, na dziesiątą ulicę uciekła.

Siedzi tam teraz, na dziesiątej ulicy i czatuje na dzieci. Pilnujcie się, jak ją któreś z Was spotka, niech się jej nie da.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.

Samolot

Jestem jeszcze malutki
mam 7 latek dopiero
biegam dokoła stołu
z samolotem moim z papieru.
Ale niechno tylko urosnę,
niech będę mądry i duży
zbuduję ja sobie samolot
do długich, cudownych podróży.
Wzniosę się w nim pod obłoki
nad wielkim światem szerokim.

Jak ptak będę sobie latał
po wszystkich zakątkach świata.
Będę tam, gdzie są żółte siostrzyczki
braciszkowie czarni i biali,
ja ich poznam, oni mnie poznają,
będziemy się wszyscy kochali.
Niech tylko szkołę ukończę
niech będę silny i duży
sam sobie zbuduję samolot
do moich cudownych podróży.

ŁAMIGŁÓWKA 1.

1				
2				
3				
4				
5				
6				

Wyszukaj 6 wyrazów, z których każdy składałby się z pięciu liter. Pierwsze kolumny (pozioma i pionowa) dadzą rozwiązanie łamigłówki.

Znaczenie wyrazów: 1) zabiera tysiące ludzi, sprowadza nędzę, 2) dużo ich jest w lecie, 3) znoszą kury, 4) inaczej scyzoryk, 5) imię dziewczynki, 6) jest zawsze w kinie.

ŁAMIGŁÓWKA 2.

1 J
2 N W
3 J H N
4 Y C C J
5 A A Ę E O

Z tych liter ułóż 5 wyrazów, które czytane poziomo tworzą zdanie.

Znaczenie wyrazów: 1) samogłoska, 2) ty, 3) przeczenie, 4) inaczej — żądam, 5) wyraz nie lubiany przez dzieci, bo zabiera im ojców i braci.

ROZSYPANKA.

Z podanych sylab ułóż zdania: 1) dza, dzę, głód, i, na, nę, spro, woj, wa; 2) ca, ca, da, dzi, ga, i, lu, pra, wzbo, zgo.